

Nie musiałam udawać

- mówi Anna Dymna o swojej roli w serialu „Boża podszewka”



Anna Dymna

Ur. w 1951 roku. Ukończyła krakowską szkołę teatralną. Występuje od 1973 roku w Teatrze Starym w Krakowie. Zagrała w wielu spektaklach teatralnych i filmach, m.in. w komediach Sylwestra Chęcińskiego „Sam! swol!” i „Nie ma mocnych”, w serialach telewizyjnych, m.in. „Królowej Bonie”. Mieszka w ukochanym Krakowie, wychowuje dwunastoletniego syna Michała.

- Czy ogląda Pani „Bożą podszewkę”?

- Tak! I coraz bardziej mi się podoba. Pierwsze dwa odcinki oglądałam w dużym napłęciu, jako że sama w nich grałam. Oglądanie siebie na ekranie jest bardzo stresujące, choć pouczające. Teraz już się nie denerwuję i z przyjemnością przeżywam z bohaterami ich losy. Klimat tego filmu jest mi bardzo bliski, gdyż korzenie mojej rodziny też tkwią na kresach wschodnich.

- Zagrała Pani w serialu gosposię Walunię.

- Bardzo ją polubiłam. Walunia jest jak zwierzątko, jak promień słońca. Jest czysta i niewinna jak dziecko.

- Niewinna jak dziecko? Nie cieszyła się we wsł najlepszą reputacją.

- Walunia kocha cały świat. Ludziom z radością daje to, co ma. Całą swoją miłość, pracowitość, radość. Ciało też. Gdyby miała pieniądze, też by je rozdawała.

- Polubiła Pani tę postać?

- Na początku miałam wątpliwości, czy Walunia nie powinna być młodą panią. Reżyser, Izabella Cywińska, przekonała mnie jednak, że to postać ponadczasowa. Bardzo żałuję, że mojej bohaterki nie ma już w filmie. Z przyjemnością grałabym Walunię dłużej.

- Pozostał pewien niedosyt?

- Przyzwyczałam się do tej roli, choć ciężko wtedy pracowałam. Często, po zdjęciach do serialu, który kręcony był pod Warszawą, gnałam do Krakowa na spektakl.

- Czy rola Waluni wymagała specjalnej charakteryzacji?

- Nie! I to właśnie było cudowne. Mogłam nareszcie chodzić przed kamerą bez makijażu. Smarowano mnie tylko czasem tłuszczem, żebym się bardziej błyszczała. Nie musiałam udawać szczuplejszej ani młodszej. Miałam być taka, jaka jestem.

- Które sceny najsympatyczniej się kręciło?

- Wszystkie. Te erotyczne w oborze też. Mój syn wyśmiewał się ze mnie, gdy słyszał jak umawiałam się na zdjęcia i asystent reżysera podawał mi tytuły scen. „Pani Aniu - mówil - jutro robimy „Szczanie do gęby” i „Szczanie za stodołą” - oczywiście za przeproszeniem”. Mój synek zaraz wtedy dodawał: „I oni ci mamuś za to płacą?”.

- Zabierała Pani na plan „Bożej podszewki” swojego syna Michała?

- Akurat zaczęły się wakacje, miał więc wolne, a w scenie wesela Waluni potrzebne były dzieci do statystowania. Już pierwszego dnia poczuł się jednak zniechęcony graniem. Czekał na swoje ujęcia chyba 7 godzin. Wprawdzie, gdy doszło do jego scen, robił, co mu kazano - biegał po stołach, kradł kiełbasy, ale ostatecznie na ekranie w ogóle się nie pojawił.

- Zawód aktora nie pociąga syna?

- Michał już od dziecka wie, jak ciężkiej pracy wymaga ten zawód. I myślę, że nie pali się do niego. Zawsze, kiedy proponuję mu udział w filmie, mówi: „Nie jestem małą, to moja mama jest aktorką”.

- Która scena podczas realizacji serialu była dla Pani najbardziej nieprzyjemna?

- Ostatnia. Po ostatnim dniu zdjęciowym poczułam się, jakby jedno z moich ukochanych dzieci odeszło ode mnie w świat. Tym razem to była Walunia.

Rozmawiała
PATRYCJA MICHALAK



W roli pracowitej i radosnej gosposi Waluni